



Klasyka literatury

ALEKSADNER DUMAS

HRABIA MONTE CHRISTO

TOM III

POWIEŚĆ



Aleksadner Dumas

Hrabia Monte Christo.

Tom III

Wersja demonstracyjna.



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2017

Aleksander Dumas
„Hrabia Monte Christo. Tom III”

Copyright © by Aleksander Dumas, 1929
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Chmielewski Łukasz
Projekt okładki: Kamil Skitek
Druk: Drukarnia Literacka
Wydawnictwo: Biblioteka Rodzinna
Warszawa, 1929

ISBN: 978-83-8119-033-6

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

CZEŚĆ ÓSMA.

WIELKOŚWIATOWE ROZRYWKI.

ROZDZIAŁ I.

MAJOR CAVALCANTI.

Po otrzymaniu powyższych rozkazów, Bertuccio udał się do Auteuil, biorąc ze sobą całą armję służących.

W pół godziny zaś po jego wyjeździe, przed bramą pałacu hrabiego w Paryżu, stanął skromny fiakr jednokonny, z którego wysiadł mężczyzna lat około pięćdziesięciu, w brązowym ongi, a dziś pozieleniałym surducie brandenburskim. Szerokie, granatowe pantalone, buty dość jeszcze całe, o grubej podeszwie, lecz połysku dość wątpliwym, jelonkowe rękawiczki, nakoniec kapelusz, z kształtu nawet do żandarmskiego kaszkietu podobny — dopełniały stroju. Osobnik ten bojaźliwie uderzył w dzwonek, pytając się następnie, czy jest to pałac należący do hrabiego Monte Chro.

Otrzymaawszy odpowiedź potakującą, wszedł, zamknął sam drzwi za sobą i udał się dziedzińcem do pałacu.

Główka mała, na krótkiej szyi, włosy ubielone, wąs gęstym szronem przypruszony, były wystarczającymi dla Baptysty wskazówkami, iż jest to gość przez hrabiego oczekiwany. Bez najmniejszych więc trudności przybyły został wprowadzony w głąb apartamentów, do gabinetu, w którym byli przyjmowani interesanci i dostawcy. Po chwili wszedł Monte Christo, uśmiechem witając niezwykłego gościa.

— Jakże się kochany pan miewa? — powiedział — właśnie oczekiwałem na niego.

— Pan hrabia był tak łaskaw oczekiwać na mnie? — zdziwił się luceńczyk.

— Ależ tak, czekałem. Zawiadomiono mnie przecież, że pan będziesz dziś u mnie, o godzinie siódmej.

Luceńczyk zdawał się być trochę niespokojnym.

— Wszak pan jesteś — rzekł Monte Christo — margrabią Bartłomiejem Cavalcanti?

— Tak jest, jestem Bartłomiejem Cavalcanti — przyznał luceńczyk wesoło.

— Major wojsk austriackich?

— Czyż ja miałbym być majorem? Tak, tak... jestem nim. I bardzo jestem z tego kontent.

— Przybywasz pan od mnie z polecenia?

— Księdza Bussoni. A oto jego list.

— Niezmiernie rad jestem. Proszę mi go podać.

Monte Christo wziął list i przeczytał go uważnie.

Major tymczasem wielkimi z podziwu oczyma rozglądał się po pokoju, najbardziej jednak przyglądał się właścicielowi pałacu.

— To samo, co już wiedziałem poprzednio. Zaczny ksiądz pisze: „Major Cavalcanti, znakomity patrycjusz Lukki, potomek Cavalcantich z Florencji, posiadający pół miliona rocznego dochodu”...

Monte Christo przerwał czytanie i skłonił się gościowi.

— Pół miliona dochodu! Niech djabli wezmą! To nie żarty... zawołał.

— Więc ksiądz Bussoni napisał pół miliona?... niechże i tyle będzie! Choć ja, słowo honoru daję, nigdy nie przypuszczałem, ażeby tego aż tak dużo było!

— Bo pan masz intendenta, który cię okrada! Ha! cóż robić, kochany panie Cavalcanti? Każdy z nas w tem samym jest położeniu.

— Czego to ja się dowiaduję! — odpowiedział luceńczyk — natychmiast wypędzę złodzieja!

Monte Christo wziął się znów do czytania listu:

...„Jednej tylko mu brakuje do szczęścia rzeczy”...

— O tak!... jednej tylko!... powiedział z wesołym westchnieniem przybyły.

...„Chciałby odnaleźć swego syna najukochańszego, którego porwał mu przed laty jakiś nikczemnik!”...

— Syn mój miał wtedy pięć lat zaledwie — rzekł luceńczyk z ponownym westchnieniem, wznosząc oczy do nieba.

— Biedny, nieszczęśliwy ojczy! — powiedział Monte Christo, a nie otrzymując odpowiedzi, czytał dalej:

...„Otóż ja w jego zboliałe serce przelałem nadzieję, że ty, hrabio, będziesz w możności tego syna mu zwrócić”...

Z wyrazem największego niepokoju spojrział luceńczyk na Monte Christo.

— Tak jest, mogę, — powiedział hrabia.

Twarz majora rozjaśniła się.

— Więc list ten w całości jest prawdziwy? — zapytał.

— Ależ tak! — z jakiej racji wątpić w to mogłeś?

— Bynajmniej, nie wątpiłem o tym nigdy. Jakżeż bowiem człowiek tak poważny, jak ksiądz Bussoni, mógłby sobie pozwalać na żarty tego rodzaju? Tylko, szanowny panie hrabio, tam, zdaje się, jest jeszcze dopisek...

— A tak, prawda — przyznał Monte Christo — jest jeszcze i dopisek.

...„Aby uchronić — czytał dalej Monte Christo — majora Cavalcanti od kłopotu przenoszenia swych funduszków, przesyłam dla niego czek na sumę 2,000 franków, na koszt podróży, oraz rewers na 48,000 franków, które mi jesteś, hrabio, winien”.

Major rzucił na hrabiego wzrokiem pełnym niepokoju.

— Dobrze — powiedział spokojnie Monte Christo — z księdzem Bussonim mamy stale rachunki. Nie wiem, oczywiście, czy akurat 48,000 franków zostałem mu winien, ale to nie zmienia stanu rzeczy. Sumę tę wypłacić panu mogę natychmiast. Czy tak bardzo ci jednak, majorze, na tem zależy? — Już to, prawdę powiedziawszy, tak bardzo na księdza Bussoniego liczyłem, że nie zaopatrzyłem się w inne kapitały. To też, gdybym tak sumy tej nie otrzymał, tobym się znalazł tutaj w mieście, którego nie znam zupełnie, w dość przykrem położeniu.

— Czyż taki bogacz, jak pan, znaleźć się może gdziekolwiek w pieniężnych kłopotach? — zapytał Monte Christo.

— Ależ u diabła, ja tutaj nie znam absolutnie nikogo! — zawołał, podnosząc głos, luceńczyk.

— Ale pana znają wszyscy. A już bankierzy — z pewnością.

— Tak, zapewne... Wolałbym wszelako, gdyby pan hrabia sumę tę zechciał mi wypłacić.

— Ależ z największą przyjemnością! — odpowiedział hrabia.

Major oniemiał i osłupiałym wzrokiem spojrzał na hrabiego.

— Ależ proszę, siadaj pan — zawołał hrabia — jakież ja jestem nieuważny! Od kwadransa rozmawiamy, a ja pana nie poprosiłem siedzieć!

— O, nic nie szkodzi! — powiedział major, lecz wziął natychmiast krzesło i usiadł.

— Możebyś się pan czem posilił teraz?... Tak szklaneczkę porto, albo alikante?

— Jeżeli łaska, to proszę o alikante, jest to moje ulubione wino.

— Mam właśnie wcale niezłe. Może z biskoptem w dodatku?

— Niech będzie i z biskoptem!... jeżeli pan hrabia tak chcesz koniecznie.

Monte Christo zadzwonił. A gdy wszedł Baptysta, podszedł do niego i zapytał z cicha:

— I cóż?

— Młodzieniec ten już przybył oddawna i oczekuje w mniejszym salonie — odpowiedział równie cicho lokaj.

— Dobrze. Przynieś wina alikante i biskoptów.

Baptysta wyszedł, lecz prawie natychmiast powrócił z żądanymi przedmiotami.

Hrabia nalał z omszałej butelki i major wziął się natychmiast do pełnego kieliszka i do biskoptów.

— Otóż — odezwał się Monte Christo — jesteś oddawna mieszkańcem Lukki, jesteś bogaty, ze znakomitej pochodzisz rodziny, jesteś ogólnie szanowany... słowem masz wszystko, co tylko człowieka jest zdolne uczynić szczęśliwym.

— Wszystko, panie hrabio — odpowiedział major, połykając biskopt w winie umoczony — mam wszystko!

— Jednej tylko rzeczy brakuje ci do szczęścia?...

— O, tak!... jednej tylko!

— Pragnąłbyś odnaleźć swego syna?...

— A tak! — rzekł major, biorąc czwarty biskopt i nalewając sobie, po raz niewiadomo już który, wina.

Zacny luceńczyk wzniosł, mówiąc słowa te, oczy do nieba i chciał westchnąć, ale się tylko zachłysnął winem.

— Chciałbym jednak wiedzieć, drogi panie Cavalcanti, jak to było z tym synem? — Mówiono mi bowiem, że jesteś kawalerem?...

— Takie było ogólne mniemanie... Ja sam nawet...

Przy słowach tych luceńczyk wyprostował się, przybierając minę pełną godności, lecz spuszczał jednocześnie oczy z wyrazem zawstydzonej skromności.

— I chciałeś następnie naprawić popełniony błąd — mówił Monte Christo — przez wzgląd na matkę dziecięcia?

— A tak. Chciałem naprawić błąd, przez wzgląd na nieszczęśliwą, a najzupełniej niewinną matkę!...

— Pochodziła ona podobno z najlepszej rodziny?

— Tak! tak! To była patrycjuszka z Fiesole, panie hrabio, patrycjuszka!

— Jakże się nazywała? Czy nie Olivia Corsinari?

— Tak właśnie się nazywała. Olivia Corsinari.

— Margrabianka?

— Ależ tak, margrabianka.

— I wkońcu ożeniłeś się pan z nią, pomimo oporu ze strony rodziców?

— Rodzice moi ogromnie się opierali.

— Papiery, dotyczące związku tego, masz pan, oczywiście, wszystkie w porządku?

— Jakie papiery? — z przestraczem zapytał luceńczyk, odpychając gwałtownie tylko co napełniony kieliszek wina.

— Akt ślubny z Olivią Corsinari i metrykę urodzenia dziecka. Miał na imię Andrzej, jeżeli mnie pamięć nie myli. — Tak mi się zdaje... wyjąkał luceńczyk.

— Jakto: tak ci się zdaje?... Czyżbyś nie był pewien tego, jakie ma imię twój najukochańszy syn?

— Ach! panie hrabio! Tyle lat już upłynęło od chwili, gdy mi go porwano... Czyż więc dziwić się można, że coś niecoś zapomniałem?

— Prawda, że bardzo wiele od tego czasu upłynęło wody w rzekach, wiele rzeczy w pamięci ludzkiej się zatarało! — w zamyśleniu powiedział Monte Christo — papiery jednak masz w porządku?

— Ż żalem wyznać panu hrabiemu muszę, że nie zabrałem ich z sobą, nie będąc pewien, czy będą mi one potrzebne?

— Tam do diabła! — zawołał Monte Christo, trzaskając w palce — papiery te są nieodzowne!

Luceńczyk potarł potem zroszone czoło.

— Są konieczne — powiedział — co tu teraz zrobić? Cóż to za nieszczęście, że ja ich nie wziąłem!

— Na szczęście, ja je mam już u siebie; ksiądz Bussoni już mi je nadesłał.

— Nieoceniony, zaprawdę, z tego księdza człowiek — zawołał wtedy uradowany luceńczyk, który przed chwilą już się był pożegnał ze swemi 48.000 franków. — Prawdziwe to szczęście; nie spodziewałem się tego po nim! Więc ksiądz Bussoni sam przysłał te papiery panu?

— Oto są!... Zaślubiłeś pan, jak się z nich dowiadujemy, Oliwię Corsisari w kościele św. Pawła, na Monte Cattini.

— Prawda, zupełna prawda, na honor, — zawołał major, z podziwem spoglądając na świadectwo.

— Zaś tutaj oto jest metryka Andrzeja Cavalcanti, wydana przez proboszcza w Saravazza.

— Zawsze utrzymywałem papiery te w najwyższym porządku. Zacny ksiądz, że je zabrał i przesłał tutaj!

— Weź więc te papiery, majorze, są one twoją własnością przecież, a następnie oddaj je synowi, bo bez nich trudneby miał życie.

— A teraz — podjął Monte Christo — co się tyczy matki tego młodzieńca...

— Margrabianki Corsinari...

— To ta, o ile wiem, już umarła?

— Do dziś jej śmierć oplakuję! Ach, jak ja ją kochałem i do dziś kocham jeszcze!

— Cóż robić?... pocieszać zaczął Monte Christo — wszyscy jesteśmy śmiertelni. Teraz winieneś, panie Cavalcanti, wiedzieć, iż we Francji nic nikomu do tego, że pan od piętnastu lat byłeś z synem rozłączony. Wszystkie te historie o porywaniu dzieci są we Francji bardzo źle uważane, możesz więc mówić, że z synem nie widywałeś się od lat, lecz tylko dlatego, iż przebywał on w collegium, ty zaś po śmierci żony odsunąłeś się od towarzystwa i żyłeś w samotni, zdala od świata i ludzi.

Ale my tutaj rozprawiamy w najlepsze, a tam przecież, w dalszych salonach, czeka na ciebie twój syn, dziecię twoje jedyne, twój Andrzej.

— Doprawdy? — powiedział z angielską prawdziwie flegmą luceńczyk — ach, jak bardzo pragnę go zobaczyć!

— Drogi panie — powiedział Monte Christo — pojmuję twe wzruszenie, ucisz jednak na chwilę twe ojcowskie serce. Muszę przecież odpowiednio przygotować i młodzieńca, ażeby zbyt silne wzruszenie nie zabiło go czasem. Zabawiaj się tymczasem butelką, która jak widzę nie została wypróżniona do dna jeszcze, a za kwadrans zobaczysz swego syna.

— Przeprowadzisz go więc tutaj, panie hrabio?

— Bynajmniej. Nie chcę stawać pomiędzy ojcem a synem, będziesz z nim sam na sam tylko, panie majorze. Gdyby cię miał zawieść głos krwi, co zresztą jest

niemożliwe, to powiadam ci, iż syn twój wejdzie temi oto drzwiami. Jest to słusznego wzrostu młodzieniec, o jasnych, trochę nazbyt złotawych może włosach, ujmujący i zgrabny. Zobaczysz!

— Wszystko to doskonale — zagadnął major — pan hrabia przypomina sobie jednak, że ja na drogę miałem zaledwie 2.000 franków. Wydałem prawie wszystko.

— Potrzebujesz więc pieniędzy! Nic nadto naturalniejszego!

Dla okrągłego rachunku weź teraz te 8.000 franków.

Oczy luceńczyka rozbłysły jak djamenty.

— Jestem panu winien jeszcze 40,000 franków.

— Czy mam panu hrabiemu wydać kwit? — zapytał major, chowając starannie pieniądze.

— A to na co?

— Będzie to panu potrzebne niewątpliwie przy obrachunkach z księdzem Bussoni?

— To mi pan dasz później kwit ogólny na całą sumę, gdy ci wyliczę pozostałe 40,000 franków. Pomiędzy uczciwymi ludźmi podobne ostrożności są zbyteczne. Słowo jednak, majorze, już ostatnie.

— Bardzo proszę.

— Otóż nieźle by było, ażebyś ten swój surdut brandenburski zmienił tutaj na strój bardziej paryski.

— Doprawdy? — zapytał major, spoglądając z pewnem upodobaniem na swój ubiór.

— Można to było nosić doskonale w Vallengio, lecz nigdy w Paryżu. Jeżeli tak wielką do ubioru tego przywiązujesz wagę, to będzie mógł przyodziać się weń ponownie w chwili wyjazdu z Paryża.

— Lecz cóż ja teraz na siebie włożę?...

— No, przecież tam znajdziesz coś nie coś jeszcze w swych kufrach, które wraz z tobą przybyły do Paryża?

— W jakich kufrach?... mały tłómaczek.

— Jak to znać starego żołnierza. Oczywiście, że ze sobą masz tylko walizę podręczną. Ale przecież wczoraj jeszcze przyszedł twój bagaż, z paru kufrów się składający, do Paryża i został odesłany do hotelu „Royal”, przy ulicy Richelieu. Przecież ksiądz Bussoni mi pisał, że tam właśnie zamówiłeś sobie mieszkanie.

— Więc w tych kufrach...

— Znajdziesz zapewne wszystko, co ci będzie w Paryżu potrzebne. Nie wątpię, iż przed wyjazdem kazałeś lokajowi zapakować: toalety na miasto, galowy mundur, wszystkie ordery, jakie otrzymałeś... Nie zapominaj nigdy o przypinaniu do munduru tych orderów. W Paryżu ogólnie się z krzyżów śmieją, ale je noszą zawsze!

— Teraz tedy — zakończył Monte Christo — gdy serce pańskie jest już wzmocnione i przygotowane na wzruszenia, oczekuj na syna, w największym, jak tylko to jest możliwe, spokoju.

ROZDZIAŁ II.

ANDRZEJ CAVALCANTI.

Po rozmowie tej, hrabia Monte Christo poszedł do salonu, który Baptysta miał zwyczaj nazywać błękitnym, a do którego przed jakąś pół godziną został wprowadzony młodzieniec o postaci zręcznej, ubrany elegancko.

Gdy hrabia wszedł do salonu, młodzieniec spoczywał na sofie, niedbale rozciągnięty i zabawiał się uderzaniem trzcina z złotą gałką, po obuwiu.

Spostrzegłszy hrabiego podniósł się żywo.

— Czy pan jesteś hrabią de Monte Christo? — zapytał.

— Tak jest, panie. A ja czy mam zaszczyt powitać w domu mym pana vicehrabiego Andrzeja Cavalcanti?

— Jestem właśnie Andrzejem hrabią Cavalcantim, do usług — odpowiedział wytworny młodzieniec, składając wyszukany ukłon.

— Musisz pan mieć zapewne jakiś list polecający?

— Nic o nim nie mówiłem, z racji podpisu, który wydaje mi się dosyć oryginalny.

— Czy nie Sindbad marynarz?... O, jest to pseudonim pewnego anglika, wielkiego oryginała, którego prawdziwe nazwisko jest mi znane doskonale. Jest to lord Wilmor.

— Teraz rozumiem już wszystko — odpowiedział Andrzej — już się wszystko wyjaśniło. Właśnie tego anglika znałem bardzo dobrze... Tak... bardzo dobrze!

— W takim razie — powiedział hrabia z uśmiechem dużego zadowolenia —

może zechcesz mi opowiedzieć cośkolwiek o sobie i o swojej rodzinie?

— Najchętniej, panie hrabio. Jestem, jak to już panu powiedziałem, hrabią Andrzejem Cavalcantim, synem majora, margrabiego Bartłomieja Cavalcanti; przodkowie moi od wieków są do złotej księgi Florencji zapisani...

Rodzina nasza, aczkolwiek dosyć dotychczas bogata, przeszła przez wiele nieszczęść w ostatnich czasach. Ja sam, w piątym, czy szóstym roku życia porwany zostałem przez nikczemnego guwenera, tak iż od lat piętnastu nie widziałem ojca.

— W rzeczy samej, drogi panie, wszystko to, co mi pan opowiadasz, jest zgodne z tem, co mi ów Sindbad marynarz pisał już uprzednio — przemówił w odpowiedzi hrabia, wpatrując się z ponurem zadowoleniem w tę twarz swobodną, o pięknych rysach, a przypominającą twarz złego anioła — i dobrześ pan uczynił, iż zastosowałeś się we wszystkim do wskazówek owego Sindbada, ojciec pański bowiem jest tu rzeczywiście właśnie, w poszukiwaniu swego straconego syna.

Hrabia od wejścia do salonu nie spuszczał oczu z młodzieńca, podziwiając pewność jego głosu i wzroku. Na te kilka tak naturalnych wyrazów: „ojciec pański jest tu rzeczywiście”, Andrzej jednak podskoczył i krzyknął przerażony:

— Ojciec mój jest tutaj?!

— Ależ tak!... pan major Bartłomiej Cavalcanti.

Wyraz przestrawu znikł z twarzy Andrzeja momentalnie.

— Ach, tak, prawda, major Cavalcanti — przemówił spokojnym już prawie głosem — więc mówisz, hrabio, że ten drogi ojciec się tutaj znajduje?

— Tak, panie. Winienem ponadto dodać, że tylko co się z nim rozstałem, a historia, jaką mi o swym zaginionym synu opowiadał, wzruszyła mnie do łez. Nie wiesz może jeszcze tego, iż pewnego razu otrzymał on wiadomość, iż ci, którzy jego syna porwali, są gotowi powrócić mu go, za okupem jednak bardzo znacznym. Nie zraziło to zacnego ojca, sumę żadaną przesłał natychmiast na granicę Piemontu, wraz z paszportem, do Włoch zaawizowanym. Wszak pan byłeś w południowej Francji ostatnio, o ile mi wiadomo?.

— Tak jest, panie — odpowiedział Andrzej z dość niepewną miną — w południowej Francji bawiłem właśnie.

— Powóz oczekiwać miał w Nicei?

— Informacje twoje są doskonałe, panie hrabio. Otóż z Nicei udałem się do

Genui, z Genui do Turynu, z Turynu do Chambery, a stamtąd do Paryża.

— Ojciec pański spodziewał się spotkać pana w drodze, bo właśnie tym samym traktem i on również jechał.

— Wątpię tylko, czy mój drogi ojciec potrafił mnie poznać. Od czasu bowiem, gdy mnie ostatni raz widział, zmienić się musiałem trochę!

— To jest rzecz bez znaczenia! Czyż sam głos krwi nie byłby wystarczająco silnym wskaźnikiem?

— Zapewne... Nie pomyślałem o tem.

— Jedna tylko rzecz niepokoi teraz margrabiego Cavalcanti — ciągnął dalej Monte Christo — co pan przez cały ten czas rozłąki porabiałeś? Przyjaciel mój, lord Wilmor, wspominał mi, że zastał cię w bardzo przykrem położeniu. Pod jakim względem? — nie zapytywałem, bo nie jestem ciekawy. Mówił mi, iż chce przywrócić panu stanowisko, jakie utraciłeś w świecie, że poszukuje pańskiego ojca i że go znajdzie; szukał go i odnalazł, jak się okazuje. Wczoraj nakoniec zawiadomił mnie o pańskim przybyciu i udzielił mi nieco wiadomości, dotyczących pańskiego majątku. A teraz... tylko niech to pana nie obraża, że pozwalam sobie zapytać go o to, czy nieszczęścia, których zaznałeś, nie narażają pana na drażliwe stanowisko względem świata?

— Panie hrabio — odpowiedział młodzieniec, który w miarę przemówienia hrabiego coraz większej nabierał pewności siebie — prześladowcy moi, którzy mnie porwali, w tym celu niewątpliwie, ażeby potem dobrze mnie odprzedać, rozumieli dobrze, że dla wykorzystania swych czynów, należy się starać o mą osobistą wartość; w tej myśli otrzymałem dość staranne wychowanie. Łotry traktowali mnie jak w Azji traktują niewolników, których ich panowie kształcą na muzyków, tancerzy, doktorów, filozofów... aby następnie tem drożej ich sprzedać na rzymskim targowisku.

Monte Christo uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie spodziewał się aż tyle po panu Andrzeju Cavalcantim.

— Gdyby zresztą — dodał młodzieniec — w wychowaniu mem uderzały pewne braki, sądzę, że przez wzgląd na nieszczęście, które stało się udziałem mojem, powinienbym znaleźć pewne pobłażanie...

— Czyń pan tedy, mój hrabio, jak uważasz — odrzekł niedbale Monte Christo — jesteś panem siebie i swej woli, od ciebie więc zależy decyzja w tym względzie. Ja tylko upewnić cię mogę, że nikomu nie wspomnę o tych wypadkach. Historia twego życia to czysty romans, świat jednak, który uwielbia romanse, o ile są one

w kolorowe okładki przybrane, rzecz dziwna! — nie wierzy tym wszystkim, w których żywa krew płynie.

Andrzej stracił nad sobą wszelką moc i przytomność. Był rozbity.

— Ja jednak — ciągnął dalej Monte Christo — jestem gotów służyć panu we wszystkim.

— Przez wzgląd jednak na lorda Wilmora, który mnie polecił panu hrabiemu tak gorąco, — zaryzykował Andrzej odważnie — racz mnie pan wspierać.

— Zapewne — odpowiedział Monte Christo — tylko że lord Wilmor nie poinformował mnie najzupełniej, że młodość twoja, drogi panie Andrzeju, do tego stopnia była burzliwa. Nie żądam jednak od pana spowiedzi. Zresztą, jest tutaj ojciec pański, który przybył aż z Lukki, ażeby cię zobaczyć i w świat cię wprowadzić. Ujrzysz go pan za chwilę, może jest on cokolwiek szorstki i zaniedbany, jest to jednak rzecz bez znaczenia, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, iż człowiek ten przez lat dwadzieścia przebywał w austriackim wojsku. No, od austriaków, jako od Niemców, trudno przecież wymagać grzeczności! Zresztą, jak na ojca, jest on dość znośny. W dodatku wielki majątek przysłania dobrze jego pewne braki.

— Czy mój ojciec jest istotnie tak bardzo bogaty?

— Miljoner!... ma pięćkroć sto tysięcy lirów rocznego dochodu. Panu wyznaczył pensję sześćdziesiąt tysięcy lirów rocznie, dopóki będziesz przebywał w Paryżu.

— Ależ ja w takim razie nigdy z Paryża nie wyjadę!

— Kto wie?.. drogi panie. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi!

Andrzej westchnął.

— Jeżeli jednak przez cały czas mego pobytu nie zdarzy się żaden wypadek, to ja mogę być pewny swej pensji?

— Najzupełniej.

— Od mego ojca? — zapytał Andrzej z niepokojem.

— Tak jest, jednak sumę tę zabezpiecza lord Wilmor, który, na prośbę ojca pańskiego, otworzył ci kredyt pięciu tysięcy franków miesięcznie, u pana Danglarsa, bankiera bardzo poważnego.

— Czy ojciec mój długo ma zamiar bawić w Paryżu? — zapytał Andrzej z tym samym, widocznym niepokojem.

— Parę dni zaledwie. Obowiązki służby nie pozwalają mu na dłuższy tutaj

pobyt.

— Zaczny, poczciwy ojciec — zawołał Andrzej, uradowany najwidoczniej tem, iż ojciec tak prędko wyjeżdża.

— Czy jesteś pan gotów powitać tego swego zacnego ojca?

— zapytał nie bez ironji w głosie Monte Christo.

— Pragnąłbym jak najprędzej go zobaczyć.

— A więc zechciej przejść do tego tam salonu, a zastaniesz w nim oczekującego na cię ojca.

Andrzej złożył wtedy hrabiemu ukłon pełen wytworności i udał się we wskazanym kierunku.

Hrabia odprowadził go wzrokiem aż do drzwi, a gdy te się zamknęły, dotknął ukrytej za obrazem sprężyny; ukazał się wtedy mały otwór w ścianie, przez który można było widzieć i słyszeć wszystko, co się działo w salonie.

Andrzej, po zamknięciu drzwi, postąpił parę kroków w stronę siedzącego nad butelką majora, który w tej samej chwili zerwał się z siedzenia.

— Ojcze mój drogi! zawołał Andrzej tak, by go hrabia usłyszeć mógł przez drzwi — nakoniec cię widzę!

— Jak się masz, synu? — poważnie odpowiedział luceńczyk.

— Po tylu latach rozłączenia! — wołał Andrzej, wciąż spoglądając na drzwi — cóż to za szczęście, że się znów widzimy! Czyż się nie uściskamy?

I rzucili się sobie w ramiona, według metody aktorów teatru francuskiego, to znaczy kładąc głowy na ramionach.

— Tak, jesteśmy znów razem — przemówił po uściskach pierwszy major — spodziewam się, mój synu, że odtąd uważać będziesz Francję, za drugą swą ojczyznę!

— Nie mógłbym bez rozpaczy opuścić Paryża.

— Ja znów nie mógłbym żyć gdzieindziej, jak we Włoszech.

To też tam coprędzej powracam.

— Jednak, kochany ojciec, oddasz mi papiery, bez których byłby niemożliwy mój pobyt w Paryżu.

— Ależ naturalnie. Właśnie po to przybyłem do Paryża.

Masz je, bierz.

Andrzej skwapliwie porwał akt ślubny ojca, następnie metrykę swego chrztu. Z

ciekawością przebiegł wprawnym okiem po obydwóch dokumentach.

Wyraz radości błysnął mu na czole, potem spojrzął na majora i z uśmiechem urodzonego kryminalisty odezwał się do niego w najczystszy dialekcie toskańskim:

— Cóż to? Czy we Włoszech niema już galer?...

Major cofnął się.

— A to co za pytanie?

— No, bo podobne akty tak bezkarnie fabrykują. Za połowę podobnej roboty, mój stary, posłanoby cię, we Francji, na lat pięć na świeże powieterko do Tulonu.

— Co to wszystko ma znaczyć? — obruszył się luceńczyk.

— Kochany panie Cavalcanti, ile ci też ofiarowano za to, abyś został moim ojcem?

Major, przybierając minę pełną godności, nie dał żadnej odpowiedzi.

— Czekaj — rzekł Andrzej, głos zniżając — ja pierwszy dam ci dowód zaufania. Mnie ofiarowano sześćdziesiąt tysięcy lirów rocznie, abym został twoim synem.

Major z wyrazem niepokoju rozejrzał się dookoła.

— Bądź pan spokojny, jesteśmy sami. Mówimy zresztą narzeczem, którego tutaj nikt napewno nie rozumie.

— Mnie, — rzekł z westchnieniem luceńczyk — dadzą pięćdziesiąt tysięcy zaledwie i to jednorazowo!

— Panie Cavalcanti — zagadnął Andrzej — czyś pan wierzył kiedykolwiek w opowieści arabskie?

— Dotychczas nie, ale teraz kto wie... czy nie zacznę w nie wierzyć. Mam dane po temu!

I major wyjął z kieszeni garść złota.

— Więc pan sądzisz, że można wierzyć tym wszystkim obietnicom? — zapytał Andrzej.

— Zdaje mi się, że tak. Trzeba tylko, byśmy dobrze swe role odgrywali, ja — ojca, zaś ty — syna.

— I któż u diabła chceć może tego wszystkiego? Jaki może mieć w tem interes? Odebrałeś zapewne pewien list. Od kogo on był, wiedzieć bym pragnął?

— Od księdza Bussoni, którego co najdziwniejsze, nigdy w życiu nie widziałem i nigdy nic o nim nie słyszałem.

— Cóż ten list zawierał?

— Masz go, możesz przeczytać.

Andrzej zaczął czytać. „Jesteś ubogi. Smutna oczekuje cię starość. Dam ci sposobność zdobycia nieco grosza. Jedź natychmiast do Paryża, a gdy tam już będziesz, udaj się do hrabiego Monte Christo, zamieszkałego na polach Elizejskich i zażądaj od niego zwrotu syna, którego miałeś z margrabianką Corsinari, a którego ci porwano w piątym roku życia. Syn ten ma na imię Andrzej. Abyś nie miał wątpliwości co do dobrych chęci niżej podpisanego, załączam: a) przekaz na 2,400 lirów toskańskich, na dom pana Gorri we Florencji, b) list polecający dla hrabiego Monte Christo, który wręczy ci w mojem imieniu 48,000 lirów.

Bądź u hrabiego dnia 26 maja, o godzinie siódmej wieczorem. Ksiądz Bussoni“.

— Otóż to właśnie — zawołał Andrzej — list podobny i ja otrzymałem, tylko, że mój był podpisany przez lorda Wilmora, używającego pseudonimu Sindbada marynarza.

— Którego pan nie znasz prawdopodobnie tak samo, jak ja księdza Bussoni?

— Widziałem go raz jeden. Oto jego list:

I Andrzej podał luceńczykowi list tej treści:

„Jesteś ubogi. Przyszłość twa zdaje się być beznadziejna. Jeżeli chcesz mieć imię, być wolnym i bogatym, — siadaj do powozu, który czekać na ciebie będzie na drodze pomiędzy

Nizza, a Villefranche i jedź przez Turyn, Chambery i Pont de

Beauvoisin do Paryża; tam zamelduj się hrabiemu Monte Christo, w domu Nr. 30, przy Polach Elizejskich, dnia 26 maja, o godzinie 7-ej wieczorem i zapytaj się go o swego ojca. Jesteś synem Bartłomieja, margrabiego Cavalcanti i margrabianki Olivji Corsinari, jak o tem będziesz miał możliwość przekonania się z papierów, które ci doręczy margrabia, twój ojciec. Żyć będziesz w świecie paryskim, mając zapewniony dochód

60.000 liwrów rocznie. Na koszta podróży załączam przekaz na 5,000 liwrów, na dom bankowy Ferrea w Nizy, prócz tego przesyłam list polecający do hrabiego Monte Christo. Sindbad marynarz“.

— Wszystko to jest bardzo piękne — powiedział luceńczyk, po przeczytaniu listu — jednej rzeczy pojąć nie mogę! Kto tutaj jest oszukiwany?

— W każdym razie żaden z nas — cynicznie wyjaśnił kwestję Andrzej — lecz

w takim razie musimy razem i zgodnie odgrywać nasze role.

— Doskonale! Przekonasz się, że godnym jestem współnikiem twoim! A więc:

— Drogi ojczeczku! Jakżeż ja za tobą tęskniłem!

— Synu! Chodź jeszcze raz w moje objęcia!

W tej chwili do salonu wszedł hrabia i zastał ich w uścisku.

— Cóż, panie margrabi? — zagadnął na ten widok Monte Christo — zdaje się, iż syn przypadł ci do serca?

— O, panie hrabio! Omdleвам ze szczęścia.

— Nie dowierzam wprost myśli, że odnalazłem na koniec mego drogiego ojca.

— Szczęśliwy ojczeczku!... — Szczęśliwy synu!... zawołał hrabia.

— Jedna tylko rzecz mnie zasmuca, — rzekł luceńczyk — ta mianowicie, że tak prędko będę musiał opuścić Paryż!

— Ach, drogi panie Cavalcanti! — odpowiedział Monte Christo — zanim odjedziesz, pozwolisz, bym ci przedstawił paru moich przyjaciół?

— Jestem na rozkaz pana hrabiego.

— Ale jeszcze inną mam do ciebie sprawę. Syn twój zwierzył mi się, że jego kasa w nienajlepszym jest stanie.

— A cóż ja na to mu poradzę?

— Powinieneś dać mu, jak możesz najwięcej.

— Ja?...

— Tak, Pan!... powiedział Monte Christo, stając pomiędzy luceńczykiem, a Andrzejem.

— Weź to, — rzekł następnie do Andrzeja, podając temu ostatniemu całą pakę biletów bankowych — oto jest odpowiedź twego ojca, na twoją prośbę o pieniądze.

— Czy to na rachunek mych dochodów? — zapytał skrupulatny Andrzej.

— Nie. Na koszt instalacji jedynie.

— O najdroższy ojczeczku!

— Bądźże pan cicho! — stłumił wybuch nie w porę Monte Christo — widzisz przecie, że ojciec twój nie życzy sobie, byś mu składał podziękowania.

— Pojmuję jego delikatność i umiem ją ocenić — rzekł Andrzej, chowając asygnaty do pugilaresu.

— No, a teraz — powiedział Monte Christo, zmieniając ton nieco — możecie już odejść.

— Kiedy będzie mi dana sposobność ujżenia znów pana hrabiego? — układnie zapytał Andrzej.

— W sobotę. Tak, w sobotę proszę obydwóch panów do siebie. Będę miał w dniu tym, w pałacu, przy ulicy Fontaine Nr. 28, w Auteuil, parę osób na obiedzie, pomiędzy innymi — i pańskiego bankiera, barona Danglarsa.

— Jak mam się ubrać? — zapytał pokornie luceńczyk.

— Strój galowy: mundur, pantalony białe, krótkie, wszystkie ordery i krzyże na piersi.

— A ja? — zapytał z kolei Andrzej.

— Ubiór jak najskromniejszy. Spodnie czarne, lakierowane pantofle, kamizelka biała, frak czarny, lub też ciemno granatowy. Chustka na szyi śnieżno biała, z długimi końcami. Im mniej pan okażesz pretensji w ubiorze, tem korzystniejsze sprawisz wrażenie. Jeżeli będziesz kupował konie, poradź się jakiego anglika, jeżeli faeton, zasięgnij rady mego Baptysty.

— O której godzinie mamy się stawić?

— O wpół do siódmej.

— Dobrze, będziemy służyli — odrzekł luceńczyk, sięgając ręką po kapelusz.

Obaj panowie Cavalcanti pożegnali hrabiego i wyszli.

Hrabia zbliżył się do okna i widział, jak szli przez ulicę, prowadząc się pod rękę.

— O!... nędznicy! Jaka szkoda, że istotnie nie jest to ojciec z synem...

A po krótkiej chwili ponurego zamyślenia powiedział sam do siebie.

— Pójdę do Morrelów. W ożywczym zdroju ich pogodnego życia obmyć się z tej ohydy!

ROZDZIAŁ III.

PLAC PRZY OGRODZIE.

Zechcą nam czytelnicy darować, że ich powiedziemy raz jeszcze na plac, przylegający do ogrodów pałacu pana de Villeforta, gdzie spotkamy się ponownie

z osobami już nam dawniej znajomymi.

W dniu tym Maksymiljan pierwszy stawiał się na umówionym miejscu.

Poprzez kraty żelazne wpatrywał się w głąb ogrodu, w oczekiwaniu, czy nie usłyszy szelestu jedwabnej sukni, czy nie ujrzy ukochanej?

Pożądanym i oczekiwanym szmer dał się słyszeć, lecz zamiast Walentyny, ujrzał dwie osoby z cienia się wyłaniające.

Odwiedziny pani Danglars i Eugenji były przyczyną tego opóźnienia. Młoda dziewczyna przeto, by nie zrobić zawodu ukochanemu, zaprosiła pannę Danglars do ogrodu, chcąc tym sposobem dać znać Maksymiljanowi, że opóźnienie zdarzyło się nie z jej winy.

Młodzieniec to zrozumiał i doznał ulgi w sercu.

Walentyna przechadzała się nieprzerwanie na odległość głosu, tak iż Maksymiljan mógł ją nie tylko słyszeć ale i widzieć, zaś za każdym razem, gdy mijała kratę, rzucała spojrzenie, którego jej towarzyszka dostrzec nie mogła, mające mówić młodzieńcowi: „Przyjacielu, bądź cierpliwy, widzisz przecież, że nie moja w tem wina!”

Maksymiljan uspokoił się też zupełnie i z zachwytem przyglądał się Walentynie, dopatrując się różnic pomiędzy blondynką, o melancholijnym oku i postaci smukłej jak topola, a brunetką o oku dumnym i postaci wyniosłej Junony.

Po półgodzinnej przechadzce, panienki oddaliły się. Maksymiljan domyślił się, iż jest to zapowiedź końca wizyty pani Danglars. W rzeczy samej, Walentyna wkrótce przyszła sama.

Postępowała zwolna, z obawy, aby jakieś ciekawe spojrzenie nie zechciało śledzić jej powtórnego wyjścia do ogrodu. Zamiast zbliżyć się do kraty, usiadła naprzód na ławce i bez przesady, smutnemi oczyma spoglądać zaczęła na drzewa, klomby i kwiaty.

Po dłuższej chwili dopiero podbiegła ku kracie.

— Witam cię, Walentyno! — odezwał się głos tęskny zza kraty.

— I ja cię witam, Maksymiljanie, pozwoliłam na siebie czekać, widziałeś jednak przyczynę.

— Tak, poznałem pannę Danglars; nie myślałem, abyś była w tak bliskich stosunkach z tą młodą osobą?

— A któż ci powiedział, że ja z panną Danglars w bliskich jestem stosunkach?

— Nikt. Tak mi się jednak zdawało. Wyglądałyście jak dwie rozmiłowane w sobie przyjaciółki, opowiadające sobie swe pensjonarskie tajemnice.

— Zgadłeś nawet. Bo istotnie były to zwierzenia. Panna Danglars użalała się, iż rodzice zmuszają ją do wyjścia za mąż, za pana de Morcefa; ja znów mówiłam jej, iż związek z panem d'Epinau uważam za nieszczęście.

— Droga Walentyno!

— Otóż widzisz, mój przyjacielu, gdy mówiłam o człowieku, którego kochać nie mogę, myślałam o tym, którego miłuję!

— Jesteś nieskończenie dobrą. Masz przytem w sobie to, czego panna Danglars nigdy mieć nie będzie, to jest niewypowiedzialny wdzięk niewieści, który jest tem dla kobiety, czem jest woń dla kwiatu, a słodycz dla owocu.

— Maksymiljanie!... patrzysz na mnie okiem miłości.

— O, nie! przysięgam ci, Walentyno. Porównywałem was przed chwilą! I, na honor, oddając całą sprawiedliwość piękności panny Danglars — czułem jednocześnie, iż jest niemożliwością, aby się znalazł mężczyzna, któryby ją pokochał.

— A wiesz dlaczego, Maksymiljanie, tak ci się wydało? Bo ja wraz z nią byłam i moja obecność uczyniła cię niesprawiedliwym.

— Powiedz mi jedno, Walentyno. Czy panna Danglars dlatego ma wstręt do małżeństwa z vice-hrabią de Morcef, że kocha innego?

— Nikogo nie kocha. Zwierzyła mi się, że wogóle ma nieprzewyciężony wstręt do małżeństwa, że pragnęłaby zdobyć dla siebie byt niezależny. Marzy o tem jedynie, ażeby zostać artystką, jak jej przyjaciółka, panna Luiza d'Armilly.

— Widzisz, Walentyno, nie dla ciebie to przyjaciółka! Ale dlaczego się oglądasz? Czy chcesz się już oddalić?

— Tak jest, niestety, Maksymiljanie — odpowiedziała smutnie panienska, — uciekać muszę, jestem w tym domu, jak w więzieniu. W dodatku macocha moja zawiadomiła mnie, iż ma udzielić mi pewnej wiadomości i prosiła, bym jak najprędzej przyszła do niej. Mówiła, iż od wieści tej zależeć ma część mego majątku. Boże mój!... niechby zabrali cały, bo dzięki spadkowi po matce i bez tego jestem dość bogata, byleby tylko zechcieli zostawić mnie w spokoju. Wszakże ty, Morrelu, kochać mnie będziesz choćbym była prawie ubogą.

— Walentyno! A cóż mnie to obchodzić może, czy jesteś bogatą, czy biedną? Bylebyś tylko była moją! Bylebyśmy tylko razem przejść mogli przez życie! Cóż to

jednak być może za wiadomość? Czy nie będzie dotyczyć ona czasem twego projektowanego zamążpójścia?

— Nie przypuszczam.

— Posłuchaj mnie, Walentyno! i pamiętaj, że dopóki żyję, stać będę zawsze przy tobie. Zaś małżeństwo twe przyszło mi na myśl z tej przyczyny, iż pan Morcef powiadomił mnie, iż wkrótce spodziewany jest powrót do kraju pana Franciszka D'Epina.

Walentyzna zbladła.

— Boże broń, by pani de Villefort tę właśnie wiadomość zakomunikować mi miała! Nie sadzę jednak. Macocha bowiem, aczkolwiek otwarcie nie sprzeciwia się związkowi temu, nie widzi go chętnie.

— Walentyno, gdyby tak być miało, zdaje mi się, iż byłbym zdolny panią Villefort pokochać!

— Nie bądź tak łatwym w swych sympatjach,

Maksymiljanie — ze smutkiem powiedziała Walentyzna.

— Jeżeli jednak jest przeciwną projektowanemu związkowi, to może łatwiej zgodziłaby się na inny?

— Nie łudź się tem, Maksymiljanie. Pani de Villefort nie ma nic przeciwko panu d'Epina, ona jest przeciwna wogóle małżeństwu.

— Jakto jest przeciwna małżeństwu. Jeżeliby tak było, dlaczegoż sama wyszła za mąż?

— Gdy przed rokiem powiadomiłam ją o mej chęci wstąpienia do klasztoru — projekt ten przyjęła z radością. Dla ojca mego wszystko, co mnie dotyczy, jest zawsze obojętne. Jeden dziadek powstrzymał mnie od wykonania tego zamiaru.

Gdybyś widział, jakim on okiem spojrział na mnie, gdym go powiadomiła o swym zamiarze! ile w tym wzroku było wyrzutu, ile rozpacz w tych łzach, które po twarzy płynąć zaczęły! Widok ten targał boleśnie mem sercem. Z krzykiem rzuciłam mu się do nóg, wołając: „przebac, przebac mi, dziadku! Niech się stanie co chce ze mną, lecz ja ciebie nigdy nie opuszczę!”

Na ten mój głos, starzec wzniósł oczy ku niebu, widocznie Bogu dziękując. Maksymiljanie! ja bardzo wiele znieść jestem zdolna, bo ten wzrok ukochanego dziadka zapłacił mi zgóry za wszystko, co w przyszłości spotkać mnie może.

— Droga Walentyno! jesteś aniołem żyjącym na ziemi! Powiedz mi jednak, co pani de Villefort miećby w tem mogła, byś ty wogóle za mąż nie poszła?

— Czyż nie słyszałaś, Maksymiljanie, co przed chwilą mówiłam, że po matce jestem bardzo bogata, gdyż odziedziczyłam po niej 50,000 liwrów rocznego dochodu. Dziadek mój i babka, margrabiostwo de Saint Meran, pozostawią mi drugie tyle, a i dziadek mój, Noirtier, ma ochotę uczynienia mnie swą spadkobierczynią. Wszystko to sprawia, że Edwardek, aczkolwiek jest moim bratem, będzie ubogim w przyszłości, ponieważ pani de Villefort żadnego osobistego majątku nigdy nie posiadała. Zaś pani de Villefort do szaleństwa ubóstwa to swoje jedyne dziecię. Otóż gdybym ja wstąpiła do klasztoru, cały mój majątek spadłby z konieczności na jej syna.

— Jakież to szkaradne! Cóż to za chciwość okropna!

— Weź jednak, Maksymiljanie, to pod uwagę, że jej chciwość jest bezinteresowna, że majątku tego pragnie nie dla siebie, lecz dla syna. To, co ty za grzech uważasz, jest raczej przejawem krańcowej miłości macierzyńskiej — nieomal cnotą.

— Czy ty, Walentyno, nie mogłabyś w takim razie ofiarować bratu części swego majątku?

— Nie wiem, czy prawnie jest to możliwe? Nie jestem przecież jeszcze pełnoletnia. Nie wiem przytem, jakby to przyjęła pani de Villefort, która wiecznie swą bezinteresowność ma na ustach...

— Walentyno!... miłość ma dla ciebie jest mą świętością, ukrywam ją zazdrośnie przed całym światem na dnie serca mego. Nikt na świecie, nawet siostra moja, nie domyśla się jak wielkie uczucie gości w mojem sercu. Jesteśmy jednak niezaradni, życia nieświadomi... Czybyś nie pozwoliła, abym ja, rady poszukując, zwierzył się ze wszystkim jednemu z przyjaciół moich?

Walentyna zadrżała.

— Mówić komuś o naszej miłości? O Maksymiljanie, co ty powiedziałaś!? I któż jest tym przyjacielem?

— Człowiek niezwykły! Człowiek, który zdaje się mieć w ręku przyszłość! Człowiek, który swe olbrzymie bogactwa zdaje się mieć na to jedynie, by siać dobro.

— Maksymiljanie, w takim razie niech ja poznam tego człowieka, by mi powiedział, czy za wszystkie me cierpienia będę kiedyś nagrodzoną trwałą i wielką miłością, czy stanie się ona moim udziałem?

— Droga przyjaciółko, człowiek ten jest ci już znany. Ten sam, który ocalił życie twojej macosze i jej synowi.

— Hrabia de Monte Christo?

— Tak jest.

— W takim razie nie może być on nigdy moim przyjacielem! Za bardzo jest on na to uprzejmy dla mej macochy.

— Co mówisz, Walentyno? Hrabia miałby być przyjacielem twej macochy? Moje serce aż tak bardzo omyliłoby się miało?

Jestem przekonany, Walentyno, żeś w błędzie!

— Ach, Maksymiljanie! Nie wiesz, chyba, że w domu naszym rządzi teraz już nie Edwardek, ale hrabia. Pani de Villefort jest całkowicie pod jego urokiem, zachwyca się nim, podziwia go; uwielbia w nim zbiór wszystkich wiadomości ludzkich. A i ojciec mój go podziwia, mówiąc, że jeszcze nigdy w życiu nie widział, aby jeden człowiek łączył w sobie obok najwznioślejszych myśli, tyle daru wymowy. Nawet Edward, który ze wszystkich szydzi i wyśmiewa wszystkich, przepada za nim, aczkolwiek go się boi.

— Jeżeli tak jest, droga Walentyno, jak mówisz, to wkrótce odczujesz skutki jego obecności. We Włoszech spotkał Alberta de Morcef, jakby tylko po to, aby go wkrótce wyzwolić z rąk bandytów. Poznał panią Danglars — i natychmiast ofiarował jej królewski podarunek. Macocha twoja i twój brat przejeżdżają około jego pałacu, no i jego niewolnik wyrywa ich z rąk nieuniknionej śmierci!

Człowiek ten najwidoczniej posiada nad wypadkami władzę, jest zdolny kierować nimi.

Jego uśmiech — czaruje. Zobaczysz, Walentyno... jeżeli kiedykolwiek uśmiechnie się on do ciebie.

— Ja, mój Maksymiljanie, nie zwróciłam na siebie nawet jego uwagi. Więcej powiem nawet: gdy mnie ujrzy — odwraca oczy. Nie ma więc on tego jasnowidzącego wzroku, jaki mu przypisujesz. Gdyby go bowiem miał, gdyby był przytem tak niewypowiedzianie, jak go przedstawiasz, szlachetnym, poznałby jak jestem nieszczęśliwą, a wtedy możeby wsparł mnie swym wpływem.

Mówisz, Maksymiljanie, że on cię kocha?... Skądże wiesz o tem? Mężczyźni wdzięcznie zazwyczaj do oficerów się uśmiechają, pomiatają zazwyczaj kobietami, które płaczą.

Kto przeto może wiedzieć, czy — zauważywszy, iż stara się on widocznie o względy pani de Villefort, a zapewne i mego ojca — nie zechce mnie prześladować?

— Przebacz mi jednak — zakończyła przemowę Walentyna, widząc jak wielkie wrażenie sprawiły słowa jej na Morrelu — że wyrażam się źle o człowieku, którego ty poważasz.

— Nie mówmy o tem więcej — odpowiedział Morrel z westchnieniem.

— Niestety, mój przyjacielu, widzę, iż wyrządziłam ci wielką przykrość. Bardzobym pragnęła, ażeby zdanie me o tym przyjacielu twym okazało się mylne. Powiedz mi jednak, co ten hrabia Monte Christo uczynił dla ciebie?

— Przyznam ci się, Walentyo, że pytanie to w kłopot mnie wprowadza. Uczucie moje dla niego jest bezwiedne i nieświadome, instynktowne. Cóż dla mnie uczyniło słońce? Nic! Ogrzewa mnie. Czy róża uczyniła co dla mnie? Nic! A jednak napawam się jej wonią...

Przyjaźń dla hrabiego jest niezrozumiała, na niczem nie oparta. Jak również jego przyjaźń dla mnie. — Śmiać się będziesz ze mnie, Walentyo, ale od czasu, jak poznałem tego człowieka, zdaje mi się, i wierzę w to głęboko, że wszystko dobre, które mnie teraz spotyka, w nim ma swoje źródło. — Posłuchaj, w sobotę naprzykład zaprosił mnie do siebie na obiad. Niema w tem nic nadzwyczajnego, biorąc pod uwagę stosunki, jakie nas łączą, wkrótce jednak dowiaduję się, że twój ojciec wraz z macochą są również zaproszeni. Dzięki hrabiemu Monte Christo poznam ich. „Jest to przypadkowy zbieg okoliczności tylko“, powiesz może... ja jednak widzę w tem coś jakby nadprzyrodzonego, co wielką we mnie budzi ufność i

zdaje mi się, że hrabia ułożył to spotkanie z całą świadomością, iż mieć to może dla mnie następstwa korzystne. Czasami wydaje mi się, iż odgadł moją miłość, i że się nią cieszy.

— Mój najlepszy przyjacielu — odpowiedziała Walentyna — wierzaj mi, iż zaproszenia te — to prosty przypadek jedynie. Mój ojciec, zresztą, który nigdzie nie bywa, już był postanowił nie przyjąć zaproszenia, lecz decyzję tę zmieniła pani de Villefort, która wprost pała chęcią bliższego zapoznania się z tym nababem. To też po raz pierwszy, jak się znamy, głos twój nie znalazł w mojem sercu echa, zdanie twoje — nie jest mojem zdaniem. I jeżeli nie masz żadnych innych argumentów na poparcie twierdzenia twego...

— Mam jeszcze jeden — odezwał się Maksymiljan, po chwili wahania. — Lecz przyznać muszę i zgóry cię uprzedzić, że wydać ci się on może bardzo nieuzasadnionym, bardzo niedorzecznym.

— Tem gorzej — rzekła z uśmiechem Walentyna — lecz wyjaw-że mi nakoniec

ten swój argument.

— Spójrzaj pomiędzy te zarośla. Czy widzisz tego rumaka, na którym przyjechałem?

— Wspaniałe zwierzę!

— Jest to koń, wierzaj mi, bardzo wielkiej wartości, a co za tem idzie — i jego cena jest odpowiednio wielka. Mój zaś majątek jest bardzo skromny, przytem ja sam mam być dosyć rozsądnym, jak powiadają, człowiekiem, nie mógłbym więc nigdy pozwolić sobie na podobny zbytek, jak posiadanie takiej wartości konia. A jednak on jest moim. Zaś jakim się to stało sposobem? — zaraz ci opowiem. Otóż pewnego dnia, w Tattersalu ujrzałem raz przepysznego konia, tego właśnie. Nazywał się Medeach. Pytam o cenę, odpowiadają mi, że 45,000 franków. Domyślasz się, że suma ta w oczach mych wszystkie zalety tego konia przyćmiła w zupełności.

Odszedłem, z rozżalonem sercem, zwłaszcza że koń tak na mnie spoglądał, takie stroił karesy, tak harcował, że mi ciężko przyszło się z nim rozstać.

Tego samego wieczoru przyszło do mnie paru przyjaciół moich z Chateau Renaud i Debrayem na czele. Po chwili rozmowy, zasiedli do pokera; ja sam nie grywam nigdy, bo nie jestem natyle bogaty, ażebym mógł tracić, ani też do tego stopnia ubogi, bym pragnął wygrywać. Że jednak działo się to w moim domu i ja musiałem zasiąść do gry.

Gdy zabawa w całej już była pełni, jak wichur wpada do mego domu hrabia Monte Christo, najzupełniej

niespodziewanie i również zasiada do stołu. I co powiesz?... ja, który o grze nie mam pojęcia, około północy byłem w posiadaniu 50,000 franków. Przegranym okazał się hrabia. W tym stanie rzeczy goście moi opuścili mnie. Nie mogłem w domu usiedzieć, najałem fiakra i kazałem zawieźć się do Tattersaalu, który na szczęście okazał się jeszcze otwarty ze względu na jakiś konny karuzel. Wpadam do stajni i ze drżeniem serca widzę, że mój Medeah stoi w swym boksie. Porywam siodło, zarzucam na szyję rumaka uzdę, rzucam na stół 50,000 franków, nie żądając reszty, i ku ogólnemu zdumieniu opuszczam galopem stajnię! Całą resztę nocy spędziłem na ścieżkach Pól Elizejskich.

I co powiesz? W oknach pokoju hrabiego przez całą noc widziałem światło, a nawet... miałem wrażenie, że jego cień widziałem za firankami.

Gotów jestem przysiąc, iż hrabia dowiedział się, jak bardzo pragnąłbym posiadać tego konia, i umyślnie przegrał do mnie taką olbrzymią masę pieniędzy.

— Mój drogi Maksymiljanie, ty nie będziesz zdolny trwale mnie kochać, bo zbyt wielkim jesteś na to fantastą. Człowiek, który tak wszystko poetyzuje, nie będzie mógł poprzestać na jednostajnym jak moje uczuciu... Ach Boże!... Słyszysz? — wołają mnie.

I Walentyna uciekła, jak spłoszony ptak.

ROZDZIAŁ IV.

NOIRTIER.

W czasie rozmowy, jaką podaliśmy w poprzednim rozdziale, po odjeździe państwa Danglars z córką, w domu prokuratora zaszły następujące okoliczności:

Państwo Villefort udali się do pana Noirtier. Walentyna wtedy, jak wiemy, bawiła w ogrodzie.

Po przywitaniu się z ojcem, pan de Villefort rozkazał wyjść z pokoju sędzie, który od lat kilkadziesiąt pozostawał u niego i oboje zasiedli przy starcu.

Pan Noirtier siedział w wielkim fotelu na kółkach, w którym zwykle spędzał dzień cały.

Jak trup — nieruchomy, żywym i przenikliwym okiem spoglądał na swoje dzieci, których ceremonjalny ukłon zapowiadał jakieś urzędowe, nieoczekiwane zamiary.

Wzrok i słuch pozostały mu jeszcze, jak dwie iskry z całej ludzkiej materji, w trzech czwartych częściach należącej już do grobu; jeden tylko z tych dwóch powstałych zmysłów przenikał w zewnętrzne życie, to jest wzrok, podobny do odległego światełka, które w nocy obwieszcza zbłąkanemu podróżnikowi w pustyni, że tam żyje jeszcze istota wśród obszarów milczenia i ciemności.

Koniec wersji demonstracyjnej.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

